Rok. II Nał. pocz. opł. ryczałtem. STYCZEŃ 1929 Nr 2

PROMIEŃ

PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE LUDOWEJ

ORAZ SPRAWOM KULTURALNO — OŚWIATOWYM

ORGAN LUD. ZWIĄZKU ART. LITER. „PROMIENISTYCH".

TREŚC NUMERU:

Kraków — Drukarnia Kresowa.

Rok. II Nal. pocz. opł. rycz. STYCZEŃ 1929 Nr. 2

PROMIEŃ

PISMO POŚWIĘCONE
LITERATURZE LUDOWEJ
ORAZ SPRAWOM KULTURALNO — OŚWIATOWYM
ORGAN LUD. ZWIĄZKU ART. LITER. „PROMIENISTYCH".

warunki przedpłaty
rocznie z przes. poczt. 6 zł. 00 gr
półrocznie „ „ 3 „ 00 „
Kwartalnie 1 „ 50 gr.
Rękopisów nie zwraca się.

Adres Redakcji i Administracji:
Kraków, ul. św Filipa 12.
Konto P. K. O. Nr. 408.315.

Cena 1 egz.
50 groszy.

Na przełomie dwu kultur.

Powszechnie dzisiaj mówi się o kryzysie starych form we wszystkich dziedzinach życia. Stwierdzenie tego faktu prowadzi często ludzi, którzy się głębiej nad tem zjawiskiem zastanawiają do niewłaściwych wniosków i refleksyj. Czują oni, że coś koło nich się skończyło, że coś zamarło, że siły, które działały na uprzednie pokolenia na współczesne przestały działać. Teatr, który ma odtwarzać i tworzyć życie w jego doskonałych formach, upada dzisiaj coraz bardziej, skazany na granie sztuk starych, które wprawdzie mogą mieć swoją wielką artystyczną wartość, jednak nie mogą stanowić wyłącznego jego repertuaru, jeżeli ten nie chce stracić zupełnie kontaktu z współczesną epoką Niema autorów, którzyby pozasilali sztukami naprawdę nowoczesnemi, związanemi scisle z duchem terazniejszości.

Literatura również żyje pod znakiem upadku. Wprawdzie poetów mamy dzisiaj może więcej niż kiedykolwiek, jednak ci do niej prawie nic nowego nie wnoszą, strojąc swoje suchotnicze lutenki na dawno przebrzmiałe tony. Jesteśmy świadkami powstawania prądów literackich, których czas trwania nie przekracza zwykle dwóch lat. Na dalszą metę brak im tchu i siły, brak im owego twórczego rozmachu, któryby był zdolny poruszyć i zapalić szerszy ogół. —

Współczesne pokolenie polskie choruje na bezidecowość, na rozdrożach powojennego życia nie może odnaleść właściwego celu swojego istnienia, nie może odnaleść kompasu, któryby wskazywał kierunek jego wysiłków. — Te i tym podobne zjawiska nie są przypadkowemi; świadczą one o bardzo głębokim procesie jakiemu dzisiaj pod-

lega kultura polską, z jednej strony w związku z wstąpieniem ludzkości w nową fazę swojego rozwoju po wojnie światowej, a z drugiej strony w związku z uzyskaniem niepodległości narodowej. Przebudowa obecnej kultury polskiej, opartej w przeważnej części na pierwiastkach szlachecko mieszczańskich okazuje się koniecznością uzasadnioną w zupełności nowemi warunkami dziejowemi. Ten bowiem szlachecko—mieszczański charakter kultury polskiej stoi w rażącej sprzeczności z duchem czasu, z ustrojem nowego państwa i t. p. Zresztą warstwy te nie wielu już mogą dać od siebie tworzącej się nowej kulturze polskiej. Muszą ustąpić swojego miejsca innym, wstępującym dopiero poraz pierwszy w odrodzonej Polsce na widownię dziejową, pełnym niespożytej siły i tężyzny. One tylko są zdolne swoją wewnętrzną treścią zasilić wyjałowioną do gruntu dzisiejszą kulturę polską. Proces ten już się zaczął. Rodzima kultura ludowa o bardzo głębokich wartościach coraz silniej zaczyna oddziaływać na tworzenie się nowej kultury narodowej. Dzieła sztuki polskiej oparte na motywach ludowych na światowej wystawie w Paryżu zostały wyróżnione i nagrodzone. Samorodny styl w budownictwie podhalańskiem wnosi du archi-tektury polskiej naprawdę coś nowego i oryginalnego. W pieśniach ludowych jest nieprzebrane źródło do talentów muzyki polskiej. Świat baśni, podań ludowych i ballad, należycie wykorzystany, jest w stanie pchnąć twórczość polską na nowe tory tak w dziedzinie poezji i prasy, jak szczególnie w dziedzinie teatru.

Wieś polska a nie miasto jest ostoją polskości, polskiej tradycji, zwyczajów narodowych i rodzimego języka polskiego. Ona ma w sobie pierwiastek tężyzny i siły moralnej. Jak z tego widzimy lud nasz ma swoją bardzo wartościową kulturę, której twórcą był on sam, bo nie przejął jej z nikąd. O tem wszystkiem powinni przedewszystkiem pamiętać szczególnie ci, którzy chcą pracować oświatowo na wsi. Jest bowiem dzisiaj dość dużo t. z. oświatowców, którzy idą na wieś z szumnemi frazesami na ustach, z historycznym kagankiem oświaty, aby rozświecać mroki ciemności, spowijające wieś polską. Metoda ich pracy oświatowej polega jedynie na masowem kolportowaniu na wieś jałowej i bankrutującej już dzisiaj kultury miejskiej w obecnej formie, oraz na zupełnem ignorowaniu rodzimej kultury chłopskiej. Oczywiście obecna kultura nauczyła ich gardzić tem wszystkiem, co jest ludowe, jako czemś nieskończenie niższem i natury podlejszej To jakoś wkrzeniło się już w psychikę polską. Słowo „ludność“ lub „ludowy“ wywołuje u każdego miejskiego snoba ironiczny uśmieszek pogardy i politowanie. Nic więc dziwnego, że niektóre jednostki, wyszłe ze wsi o słabym charakterze częstokroć starają się ukryć swoje ludowe pochodzenie, aby w ten sposób uchronić się od upokorzeń. Tacy jednak ludzie rzeczywiście zasługują na pogardę. — Jak z tego wynika duch kultury polskiej niezgodny jest z duchem czasu, z istniejącym ustrojem demokratycznym. —

Po raz pierwszy w odrodzonej Polsce do budowy nowej kultury narodowej, powołany jest cały naród, wszystkie jego warstwy. Obecnie kultura ludowa niezawodnie stanie się tworzywem przyszłej kultury polskiej. Dzisiaj więc naprawdę niedźwiedzą przysługę wyrządzają wsi ci oświatowcy, którzy starają się w ludzie wywołać obrzydzenie do jego obecnej kultury. Mało dając ludowi, chcą go pozbawić największego skarbu, jego własnej kultury. Muszą oni zrozumieć, że w pracy nad ludem trzeba się oprzeć na wartościach w nim tkwiących a nie zamieniać je na inne wątpliwej natury.

Badanie istoty w duchu kultury ludowej jest dzisiaj jeszcze dziedziną zaniedbaną i dla wielu ludzi niemal egzotyczną. Chcąc należycie wyłowić wszystkie perły kultury ludowej trzeba się zabrać do tego planowo i systematycznie; muszą to robić ludzie fachowo do tego przygotowani i z odpowiedniem nastawieniem psychicznem. W tym celu należałoby pomyśleć o jakimś instytucie do badań kultury ludowej, któryby regulował tę pracę i sumował jej wyniki. Trud w to włożony napewno opłaciłby się sowicie, wnosząc do skarbca kultury narodowej nieocenione wartości, oraz wskazując na olbrzymie zdolności twórcze naszego ludu.

Stanisław Miłkowski.

DO POETÓW POLSKICH.

Wyjątek z poematu „Polonia Restituta".

Gdzie pocci, gdzież pieśni wodze?
Gdzież ci wieszcze?
Czyż serca ich nie pojęły jeszcze
Ojczyzny życia?! Czy ją zgubili po drodze?
Czy lotów nowych nie nabrali?
Czy śpiewać nie mają siły
skarłowacieli, mali? —

Gdy Polska żywą się stała
oni bez ognia płomieni
żyją — ich zimne bezduszne
piersi — to głazy skalne
owiane przez wiatry halne —
a serca zamarły w ich łonach !
O, brak wam miary Fidjasza !
W was przecież Polska nie gości,
przy waszej lutni kona
i ginie w tej współczesności,
żywiąc was swego Judasza!

Wam się ideały nie śnią!

W promieniach natchnień, zapałów,
w ogniach tęczowej pożogi
do polskich Ideałów
naród nie wiedziecie pieśnią!
Polska przestała was wstrząsać,
Polski nie ma w was za grosza,
jak gdyby była macosza, —
umiecie się tylko dąsać!
Nikt z was nie ujął w dłonie
harfy, by zagrać pieśń prawdziwą,
gdy wolna Polska jest szczęśliwą —
a laurów chcecie na skronie!!
Was w niepamięci pochłonie
współczesność wielkich czasów!
Ze szczytu obcych parnasów
dalekie wieści
z całego świata
z kwileniem dziecięcem

o lichej treści
niesiecie w lud!
Tam duszą wasza polata!
W was polska pieśń wygasła!
Wy czuli na obce hasła
tak w nie strojni, jak w pióra pawia
złudą twórczego bezprawia
nucicie pieśń oderwaną
od łona narodu —
wy żądni sensacji głodu —
wasza poezja fałszowana!
Dla Polski — zerem wasz trud.

FRANCISZEK LIPINSKI.



Śmierć bohatera polskiego.

WŁADYSŁAW WOSNAK.

SŁONECZNA NIEDZIELA

NOWELA.

Całą noc przemajaczył, nie mogąc doczekać się rana.

Kołacze będą piec... buchty — i chleb bieluśki, jajkiem posmarowany — na święcenie.

Najważniejsze jednak — to kołacze. Nie żeby były najlepsze, lecz że to z wyglądu najponętniejsze i jest ich zazwyczaj najwięcej. Pełne dwa piece. Gdy matka je porozkłada na podłodze, aby oziębły, — to aż się serce rozlatuje z uciechy.

Jutro piec będą — rzecz pewna. Przecież to już Wielka Sobota. Później nie można.

Myśli o tem owem—i ani rusz ze spaniem.

Duże, na całą łopatę, kołacze... jeden przy drugim... Rzecz pewna. Całkiem pewnał Nacóż byłby twaróg rozrobiony na misce?

Duma go bierze, że to on właśnie tarł ser na tarle przez cały wieczór. Gdyby nie on, nie byłoby kołaczy, ani świąt Wszak święta a kołacze—wszystko jedno..

Przy tej robocie o mało co palców sobie nie poucierał. Z jednego nawet puściło się trochę krwi do sera — ale nikt nie widział. Matka wlała mleka, wymieszała— i ktoby się spodział, co tam w twarogu jeszcze być może. Zresztą krew nie trucizna. Nieraz matka mówiła do niego:

— Gdybyś, Witek, miał więcej krwi, byłbyś zdrowszy i nie wyglądałbyś jak śmierć na chorągwi.

Po skończonych czynnościach z twarogiem, Witkowi zachciało się nagwałt spania.

— Umitrężyłeś się... Będziesz teraz wiedział, że nic dobrego łatwo nie przychodzi; trzeba się dość nasilić...

Gdy Witek znalazł się w łóżku, naciągnął kołdrę aż na czubek głowy i zaczął wyjmować z zanadrza zachowane kawałki sera, które — dusząc się — pchał do ust jeden po drugim. Czuje, że dłużej nie mógłby już wytrzymać. Dosyć się naoblizywał i nałykał ślin przy tarciu. Okropność! Mieć ser w ręce, miąć go na okruszyny a samemu nie skosztować...

— Żeby cię nie skusiło, bo dziś Wielki Piątek.

Jakże miało go skusić, kiedy zawsze ktoś patrzał i podglądał... Z trudem udało się mu schować do zanadrza parę kawałków. — Udawał, że to niby toś go tam ugryzło, więc musi się podrapać. Na ser wcale się wtedy nie patrzał.

Zato w łóżku czuł się prawie całkiem bezpiecznie. Można gryźć powolutku, śmiało... Szkoda, że ser zbyt twardy.. Czasem głośniej w zębach zachrupi, gotów ktoś usłyszeć.

Lecz nikt nie zauważył tego. Każdy, zajęty pilną robotą, myślał o swojem, żeby skończyć i iść spać. Bo jutro będzie najcięższy dzień. Pieczenie, sprzątanie, szykowanie święconego — masa roboty. Szczęście że raz do roku.

Nazajutrz Witek zaspał nadobre Jakby tego brakowało. W nocy przewracał się z boku na bok, myśląc o dniu jutrzejszym, a kiedy dnieć zaczynało, jemu zakleiły się powieki całkiem uczciwie. Gdy je rozwarł, kołacze już wsadzała matka do pieca.

Zerwał się z łóżka, jak poparzony.

— Mamo! a mój jest?

Zaczął się kręcić koło łopaty i zaglądać do pieca

— Idziesz mi stąd, utępo jedna! — krzyczała matka Służąca zaś dodała: — Poszedłbyś gdzie w pole na złamanie karku, a nie zawadzałbyś pod nogami. Widzisz przecież, że Wielka Sobota... czasu nikt nie ma.

Lecz on na to nie zważał, tylko szukał dopóty, dopóki nie spostrzegł dwuch małych ciast okrągłych, leżących na przykrywie od kotła, obficie posypanej mąką.

— Są!. są!. Mamo!.. a który mój?

— Cichoż bądź, utrapieńcze!.. Jeden twój, drugi Terescyn... Rejna, przełóż-no jeszcze twarogu na tym rogu..

Służąca zamieszała łyżką po misce z twaro-

giem, poczem zawyrokowała:

— Widzi mi się, że braknie

— Nie pleć-że.. Jakby tak być miało, to lepiej odrazu dolej mleka i dosyp mąki ze dwie garści.

Kobiety uwijały się co sił. Jedna zbierała ciasto z ław i kładła na łopatę, ubijając rękami, — druga wyczyniała twaróg, rozgarnując go trzonkiem starej zepsutej warzechy

Witek tymczasem kombinował nad wyborem kołacza Jak na utrapienie żaden nie chciał być mniejszym, aby był odpowiedni dla Tereski Po sprawiedliwości być powinno.. Ona także jest mniejsza, a w dodatku — dziewczyna. Zaś placuszki oba jednakowe Tak być nie może. Przyklasnął jeden dłonią tak silnie, że placek spłaszczył się niemal na macę.

— Ten będzie mój! — krzyknął w całe gardło i wbił palec w ciasto. — Ten mój.. znaczy... zaraz poznam. Tylko sera dużo nakładajcie, bo ja tarłem.

Aby się pozbyć chłopaka, matka poleciła mu iść gdzie za chrzanem.

— Idź do „Pietrusia"... U nich chrzan mają, to ci dadzą.

W niespełna godzinę przyniósł Witek dwa grube korzenie. Matka kazała mu je wymyć porządnie przy studni.

Witek, zamiast do studni, pobiegł nad strumyk gdzie swobodniej możnaby opłukać korzenie. Ponadto inne względy ciągnęły go w tę stronę.

Po obu brzegach strumyka rozkwitła lśniąca knieć błotna, wabiąc zdaleka wygłodzone zimą ludzkie spojrzenie.

Chłopak wrzucił chrzan do wody—niech lepiej się wypłucze! — a sam zabrał się do zrywania kwiatów. Pierwsze tego roku. Żółte—bo żółte, ale ładne. Tak bystro patrzą na człowieka, jakby coś rzeknąć miały. Coś bardzo radosnego. Coś-co tylko na wiosnę wypowiedzieć można. Czasem raz w życiu. Raz. Ale to nie od słońca zależy, tylko od samego człowieka.

Zbierając kwiaty po łące, znalazł się niewiedzieć kiedy —aż pod miedzą. Tu zobaczył kępki białych zawilców. Knieć wobec tych kwiatów straciła wiele na uroku. Bez namysłu opróżnił ręce, by zabrać się do zbierania nowego bukietu, składającego się wyłącznie z samych białych zawilców, nieśmiało podpatrujących wiosenny czar słońca i życia.

Wróciwszy do domu, zajął się umieszczeniem kwiatów. Wkrótce stały w oknie, wetknięte w porcelanowy garnek, tuląc się wzajemnie — główkę do główki.

Pierwsza zauważyła to Rejna.

— Patrzcie ino!.. Witek chwastami garnki zaprzątuje. Jutro do kawy nie będzie...

— Akurat potrzebuję garnka; dejże mi go. Albo... sama rozbij jajko do smarowania buchty...

— Toś mi dogodził: nie potrzebuję już szukać.

Rejna wyrzuciła kwiaty na podłogę, garnek przepłukała i postawiła przed gospodynią na nalepie.

Witka złość porwała. Podniósł kwiaty ze ziemi i grzmotnął niemi w służącą.

— Zeżryj sobie i to, kiedyś taka mądra:

— Ino se miarkuj! Jaki mi ta... kwioteckó w mu się zachciewa. Wstydził by się! Taki duży a bawi się kwiatkami jak jaka dziewczyna.

Wstydź się ty, żeś głupia jak tygodniowe cielę!

— Żadne śpasy! — wtrąciła się z upomnieniem matka. — Bo ojca zawołam... Będziesz miał wtedy kwiatki wymalowane - ale na czerwono. Chwastom mógł byś królom przynieść, bo od rana nic nie jadły. Śmieci po oknach nie potrzebne.

Witek wybiegł z dusznej izby i pędem ruszył w stronę strumyka. Gdy wzrok jego otarł się o kwiaty, spostrzegł z żalem w duszy, jakoby ich urok zbladł cośkolwiek... jakoby się coś rozwiało... Pochylonemi główkami zdawały się szeptać coś do swej ziemi — rodzicielki. Może to była skarga, może żal, a może zapytanie, na które niema wśród żywych odpowiedzi.

Patrząc na to, Witek spuścił głowę ku ziemi i zaczął nad czemś rozmyślać. Ten chaos myśli przezwyciężył strumyk swem miłem, jednostajnem a nieskończonem pluskaniem. Przypomniał sobie o spełnieniu obowiązku.

Za chwilę dźwigał ku domowi oprócz bielusieńkich korzeni — całe naręcze zielska

dla królików. Między trawą były także żółte kniecie, jakoteż białe zawilce. Niech sobie będą. Pewnie na to są, aby króliki miały co jeść i nie pozdychały z głodu.

Jakoś to w głowie nie chciało mu się pomieścić... czuł w sobie głos protestu, lecz zarazem czuł wielkie osamotnienie. Cóż on sam jeden znaczy?.. Śmiech. Gdzie się obrócić, wszędzie twarz Rejny.

Niema o czem myśleć.

Na szczęście wpadło mu coś innego do głowy. Tak, tak, teraz to najważniejsze: czy jutro będzie pogoda, czy nie? Mogłaby nie być Nie miałby nic przeciw temu. Owszem. kto wie? może nawet byłby rad.. Przynajmniej nie naganialiby go do kościoła Bo kościół, jak kościół — piękna rzecz, ale dwugodzinna droga i ten ścisk wewnątrz świątyni — nic pociągającego. Człowiek tak się zmęczy drogą, że potem ani malowidła po ścianach, ani przeróżności w ołtarzach już nie nęcą.

Witek pragnąłby szczerze zostać jutro w domu. Jak święta-to niech będą święta. Tyle już ma projektów na ten dzień jutrzejszy! Żeby się tylko nie wypogodziło na dobre, bo wtedy każą się ubierać do kościoła i już po wszystkiem.

Niechby nawet padał deszcz... ale tylko z rana. kiedy czas na ubieranie się do kościoła. Starzy mimo to pójdą, a on z Tereską zostanie Nikt im nie będzie się wtrącał do zabaw, będą całkiem swobodni. Prawdziwe święta nastaną, prawdziwa Wielkanoc.

Potem-to już i słońce może zaświecić. Postąpiłoby nawet bardzo uczciwie. Przy jego blasku i cieple wszystko inaczej się udaje, niż wtedy gdy niebo zasępia się chmurą czy mglistą powłoką.

O, przy słonku wszystko jest inaczej! Cudowne promyki potrafją dotrzeć aż do samej duszy, by w niej siać radość a wyrywać smutek.

Potem niech świeci..

Wbrew życzeniom Witka, nazajutrz pozwoliło sobie słońce na całodzienną pracę. Będą wołać ludzie po kościołach: „żywot się nam naprawił" — niech przynajmniej wypowiedzą to z lekkiem sercem i duszą pełną nadziei. Niechaj poczują zmartwychwstanie, jako w on czas...

„A gdy przeszły do grobu, gdy już wzeszło słońce, podniósłszy oczy, spostrzegły kamień odwalony..."

Wnet z rana zaczęli ludzie barwić wszelkie drogi i ścieżki, wydłużające się w stronę kościoła, odległego blisko dwie mile. Szli ludziska, unosząc z sobą zapas i wspomnienie wielkanocnego śniadania, rozpoczętego ugryzieniem piekącego korzenia chrzanu, a kończącego się— przeszedłszy wszystkie gatunki „święconego" — na przecukrzonej kawie z kołaczem.

Jaka szkoda że tylko raz do roku!..

Jeden może Witek nie rozkoszował się śniadaniem w tej pełni, jakby się tego po nim spodziewać było można. Jadł-bo jadł, ale „przez zęby" tylko. Myśli jego wylatywały wciąż za okno ku rozśmianemu słońcu, które - wydrapawszy się na wierzchołki gór, — śmiałym krokiem ruszyło na podbój zenitu nieba.

Lecz Witek nie śmiał się z tego, nie kraśniał po twarzy.

Pierwsza matka to zauważyła.

— A jedz-że, Witek!.. przecież dziś Wielka niedziela... Cóżeś taki osowiały?

— Pewnie bez ten krzan tak się mu gęba skrzywiła — żartowała Rejna, — ugryzł z rozmachem, co mu się przywidziało że to ser.

— Nie każdy jest tak chytry na wszystko jak ty! — odciął się Witek.

— A może ci co dolega? — dopytywała się matka, podsuwając mu jakąś nową sztukę „święcaliny". — Jedz to ci przejdzie.

Dolega... Właśnie - dobra myśl. Że mu to wcześniej nie wpadło do głowy. W każdym razie nic jeszcze nie stracone.

Odszedł od stołu, trzymając się za brzuch.

— Co jemu mogło się stać? Kto widział, żeby od święconego jakie bolenie przyjść miało?..

Witek znalaz. się pod pręgierzem licznych spojrzeń. To go naprawdę zabolało. Okrutni są ci starzy ludzie. Jak popatrzą, gotowi na wylot przejrzeć.

Nie mając się czem zasłonić, począł chłopak płakać.

— Jeszcze mię rano nic a nic... dopiero teraz...

Matka jęła go uspakajać:

— Lęgnij se, lęgnij... bolenie ci wnet przejdzie. Nie płacz. O kościół nie markoć: jutro jest także święto — więc pójdziesz.. cobyś nie miał iść.

Witek zdobył się na jedno zapytanie.

— Czy Rejna też dziś idzie?

— Idzie. Myślę, że na ciebie można się spuścić. Żebyś ino nigdzie nie odchodził od chałupy! Ani ty, ani Tereska... pamiętajcie se!

Chłopak przyrzekł święcie wypełnić rozkazy. W duchu zaś czuł ogromną wdzięczność dla Rejny. Ryczałtowo przebaczył jej wszelkie zaczepki i docinki, jakich doznał z jej strony.

Z wielką niecierpliwością oczekiwał Witek tej chwili, kiedy wreszcie znajdzie się sam z Tereską w całym domu. Lecz gdy upragniona chwila nadeszła, poczuł się bezradny wobec mnogości zagadnień i projektów, według których miał być ów czas szczęśliwy wypełniony.

Najpierw kazał siostrze pozamiatać izbę, gdy sam-usadowiwszy się w oknie-spoglądał na drogę, chcąc się upewnić, czy w istocie już ludzie poprzechodzili do kościoła. Przez całe pół godziny spostrzegł tylko jedną osobę: Jęndraskę z pod lasu, o której wszyscy mówili, że przychodzi do kościoła jedynie po to, by świece zgasić.

— Jageś ty pokropiła?.. Czy nie widzisz?.. Tyle kurzu... aż po powałę. Daliby ci tata, gdyby widzieli...

Dziewczyna broniła się upartem twierdzeniem, że pokropiła podłogę jak się należy, tylko że wyschło. Cóż ona temu winna.

Potem zaczęli się obydwoje naradzać, od jakiej zabawy rozpocząć. W końcu stanęło na tem, aby najpierw był pogrzeb.

Niezwłocznie zabrali się do roboty: ona do ubierania lalki w pogrzebowe suknie, on —do sporządzenia katafalku, krzyża i chorągwi. Gdy wszystko było już gotowe, Witek ubrał się „za księdza“, to znaczy: wciągnął na siebie starą spodnicę i zawiązał ją pod szyją. Poczem rozpoczęła się ceremonja. Tereska niosła lalkę w pudełku od cykorji, zaś Witek, chociaż ksiądz, trzymał w jednej ręce krzyż, w drugiej chorągiew, sfabrykowaną z pogrzebacza i chustki, którą Rejna w pośpiechu zostawiła za piecem.

Ceremonja w izbie, to jest w kościele, miała się ku końcowi. Już procesja ruszała z miejsca na cmentarz, znajdujący się za stodołą, gdy Witek opamiętał się i po małej przerwie zaczął zdzierać z siebie spodnicę, tłumacząc się, że mógłby go kto zobaczyć.

Siostra przyznała rację.

Gdy znaleźli się za stodołą, Witek zabrał się do kopania nożem dołka na grób. Tereska tymczasem zbierała kwiatki na wieniec. Mały niepokój zaczął ją ogarniać. Witek gotów poznać naruszenie innych grobów... Na szczęście - nie poznał. Nic nie mówił.

— Witek... prędzej!

Już uprzykrzyła się jej ta zabawa. Nic ciekawego w niej niema. Całkiem głupia. Żeby to chociaż tak by,o, jak Witek mówi... Brednie. Niedawno pochowali lalkę, matkę dzisiejszej. Witek zabronił zaglądać do niej, dopóki się na proch nie rozleci. Rzecz jasna—gdzieżby ona tak długo mogła czekać. Zaraz na drugi dzień odgrzebała lalkę, chcąc się przekonać, czy już się jej robaki chwyciły. Lecz ani znaku. A tak pragnęłaby zobaczyć, jak „ciało“ rozpada się kawałek po kawałku!..

— Witek... bociany!

Chłopak rzucił wszystko i puścił się pędem za Tereską, która lecąc na łąkę, krzyczała w cały głos:

— Bociany!.. Witek!.. Bociany przyleciały!

— A czemu się tak drzesz?! O, masz... odleciały - przez ciebie...

Dzieci wróciły do domu, wymawiając sobie wzajemnie wystraszenie bocianów.

— Byłyby usiadły na lipie, bo stare gniazdo jeszcze całe, zaś bez ciebie uciekły.

— Nie, bo...

— Głupiaś! Ani niebo, ani piekło, tylko tyś temu winna.

Dziewczyna w żaden sposób nie mogła się zgodzić na zostanie winowajczynią. Zaczęła płakać.

— Będziesz widział.. Wszystko mamie powiem. O spodnicy także powiem. Coś wyrabiał - wszystko opowiem.

Witek pokazał jej język a rękę wskazał na pas.

— O... taki długi!

— To także powiem Pod sprawością, że powiem. Oni ci dadzą!

— Gadaj! Leć zaraz! Zaś ja powiem, żeś się przysięgała.

— Ja?.. kiedy?

— Powiedziałaś „pod sprawością“.

— A ty mię przezywasz od głupich.

— Sto razy to ci powiem, jak chcesz.

— Już oni ci pokażą, gdy przyjdą z kościoła. Pożałujesz.

W sieni coś zapiszczało.

Dzieci przytuliły się do siebie, zapominając o sprzeczce i wszelkich odgrażaniach. Zaczęły nadsłuchiwać.

Kot - nie kot...

Witek podszedł do drzwi... Coś jakby miałczenie kota, czy płacz niemowlęcia.. Skądżeby. Ostrożnie uchylił drzwi do sieni.

— Tereska... pójdź-no!

Dziewczyna wybiegła za bratem do sieni — i w jednej chwili znieruchomiała.

— Co to?

— Widzis sama...

— Żywe... o retyście!

— Całkiem żywe

— Wiesz?.. to bociany przyniosły.

Witek nic nie mówił, tylko głową kręcił, nie mogąc pojąć, skąd się to dziecko wziąść mogło. Kto je tu położył w sieni na beczułce?

— Mówię ci, Witek, że to bociany przyniosły. Któżby inny?

— Razem z temi szmatami?

Tereska nie umiała odpowiedzieć. Wiadomo — skądżeby bociany tyle łachów nabrały..

W miarę gdy rzecz ta nabierała coraz więcej cech tajemniczych, dzieci zaczął ogarniać coraz większy strach. Na szczęście dały się wnet słyszeć kroki z osiedla.

— Idą z kościoła!

Dzieciom poweselały twarze. Witek skoczył do drzwi i ściągnął zasuwę. Wszedł ojciec - a za jakiś czas matka.

— Patrzcie ino!

— Bociany przyniosły!

Jędrzej Mrugała przystanął nieco, by zebrać myśli i zastanowić się nad tem, co dziecka pletą.

Gdzie?... co?.. jak?.. bociany. Co to ma znaczyć?

Tereska bierze go za rękaw i ciągnie wgłąb sieni.

— Patrzcie... całkiem żywe... O, jak to ładnie mruga oczkami!

Zaczął się wypytywać, skąd się wzięło tu na beczce z kapustą, lecz żadne na to nic powiedzieć nie umiało. Usłyszały płacz, wyszły i właśnie zobaczyły. Leżało sobie jak teraz. Od kiedy? - też nie wiedzą. Gdyby nie zapłakało, dotychczas nie wiedziałyby o niczem.

Na twarzy Jędrzeja widać było wzbierającą złość.

— Psiakrr. podrzutek!...

Prawdziwa awantura powstała dopiero wtedy, gdy nadeszła jego żona. Jędrzej pomstował i klął na czem świat stoi, nie przebierając wcale w wyrazach. Nie hamował go nawet widok dzieci, które stale zalęknione, nie pojmując o co się tak ojciec gniewa. Chyba nie z powodu tego dziecka U sąsiadów mają po ośmioro, a przecież nikt się nie gniewa o to. Widać nawet, że wszyscy są radzi. Czemu to u nich jest inaczej?

— Wyrzucić mi tego bękarta za próg! Zaraza jakaś.. zatłukę jak psię... To mi dopiero zabawka! Czyje też to być może?.. Wszystko mi jedno. Wziąć mi to zaraz z przed oczu, bo jak złapię za nogi..

Jędrzejka, która już nieco ochłonęła wzięła niemowlę na ręce i poniosła do izby.

— Biedactwo jakieś.. szeptała doń zcicha. Potem dodała głośniej: — Suka nie matka..

Następnie zabrała się do przewijania. Cudze łachy wyrzuciła na strych, żeby z nich ani śladu nie było, zaś chłopczyka, ułożywszy na swojem łóżku, zaczęła przewijać, wyciągając ze szafy coraz to inne chusty i szmaty.

— A to dopiero despekt! — mruczał Jędzej, zajadając świąteczne potrawy. — Coś podobnego jeszcze się we wsi nie przydarzyło. Zaraz idę na posterunek Niech sobie zabiorą.. co mi do tego.

Jakoś po obiedzie zaczął się zbierać ku wyjściu. Wtedy podeszła ku niemu żona, niosąc zawiniątko przed sobą.

— Patrz, Jędrzej.. Całkiem podobny do naszego Jasia.. Kubek w kubek Nieboraczysko! W sam raz tyle miał, jak umarł. Ani o kszty nie był większy. Dzisiajby już

biegał...

Chłop, niby niechcący, spojrzał na dziecko. Widocznie zrobiło na nim dodatnie wrażenie, gdyż z jego oblicza zaczęła opadać niemiła smuga cienia, z pod której wyłaniał się coraz wyraźniej ludzki wyraz twarzy. Po chwili odrzekł łagodnym głosem:

— Jak inne dzieci.

Jędrzejka nie pragnęła niczego więcej w tej chwili. Przyciskając maleństwo do piersi, spozierała nań ukradkiem i powtarzała raz po raz:

— Kubek w kubek...

Jędrzej pokręcił się trochę po izbie, wreszcie nacisnął czapkę i chwycił za klamkę. Widząc pytające spojrzenia żony, rzekł do proga:

— Idę obejrzeć oziminę.

I wyszedł.

LUDZIOM SMUTNYM.

O nie płaczcie oczy w czas jesieni,
Że już minął dla Was kwietnia dzień,
Waszych trudów owoc się rozpleni,
Więc niech zniknie z oczu smutku cień.

Cóż, że kwiaty już powiędły — liście,
Że miast słońca trwa jesienna słota?
Wiosna wraca po zimie wieczyście,
Śnijcie wiosnę Waszego żywota!

I nie płaczcie! my, którzy idziemy
W silne dłonie chwycimy sztandary,
Waszym szlakiem podążać będziemy,
Dochowamy Waszym znakom wiary.

J. Imielanka.



Śmierć Sowińskiego na murach Warszawy.

DO SIEWCY

Fr. Lipińskiemu poświęcam.

Hej siewco — hej! wznoś w niebo skroń,
Gdy wichry — gromy jęczą — — —
Gdy cię okala mroków toń,
Zwątpienia duszę męczą —
Gdy sztandar twój huragan targa:
Niech w duszy twej nie wzlata skarga!

Gdy łódź twa tonie w wirze fal —
Ty rwij się nad poziomy!
W promienną, bracie życia dal
Po drodze cierpień stromej
Idź — jako orlę — w rozświt jasny
I szczęścia szukaj w duszy własnej!

Gdy głazy ranią stopy twe —
Nieś cicho trudów brzemię,
Bij mocą ducha złości mgłą,
Czynem użyźniaj ziemię —
Rzucając zdrowe Prawdy ziarno
W niwy serc śpiących — w błoń cmentarną!

Bo ziemi naszej siewców trza —
Siewców miłości bratniej...!
Oraczów czystych — jako łza,
Ofiarnych — jak ostatni
Czyn ginącego pod sztandarem —
Co życie oddał na ofiarę — — — !

Wojciech Byczek

DO SŁOŃCA.

Bóg jest nademną i złociste płomię,
Które ożywczą siłę światu daje
Dusze światłością czyniąc w łask ogromie,
Wiodąc je w cudów gdzieś zaziemskie kraje.

A jeśli spadnie która z światła smugą
Jak złoty okruch gwiazd co z nieba leci,
Świeci jej jeszcze ponad życiem długo
I wiosny rajem ziemię dla niej kwieci.

Więc mi się dusza zlękła nie oniemia
Bólów bezsiłą i nie trwa w rozpaczy,
Dążąc tam — kędy obiecana ziemia
Ducha, w świetliste znamię czoła znaczy.

I wiem, że minie kiedyś czar znikomy,
Że to co niskie w szarem padnie pyle,
A duch w wieczności roztopion ogromy
Z uśmiechem spojrzy w błahą życia chwilę.

Więc pójdę cicho po przez wieków matnię,
Przez ból istnienia, wytrwale do końca,
Aż mnie najwyższe wyroki ostatnie
Roztopią w ciszę wieczystego słońca. —

Danuta Bursówna.

HELENA HEMPEL.

DALCIA.

(Obrazek z życia)

Icek Steinberg, pachciarz w Samoklęskach, wsi położonej w lubelskiem, wydał córkę Bryndlę, za spółdziedzica majątku kupionego po zbankrutowanym szlachcicu, syna zaś, Jankla, niepoczesnej urody i sepleniącej mowy, ożenił z Ryfką, córką piekarza z Kamionki, sąsiedniego miasteczka.

Z tego drugiego stadła, po wielu latach daremnego oczekiwania, po objęciu przez Jankla teściowego procederu, w ciasnem mieszkaniu pełnem mącznego pyłu, zamglonem parą piekarskiego pieca, przy szwargocie przejezdnych żydów, przy gwarze kupujących, targach i wypłatach, w sam czas pieczenia mac wielkanocnych, roku 1871, przyszło na świat wątłe dziecię z wielkiemi, tęskno patrzącemi oczyma. Jako dziewczyncę, nie sprawiono uroczystych urodzin; przy skromnym tylko rytualnym obrzędzie, dano jej imię Dalci

Jako jedyne wnuczę starego Steinberga (gdyż Brynda była bezdzietną), Dalcia w dziecięcych latach, dzieliła swój pobyt między dom rodziców a mleczarnię dziadka w Samoklęskach. Zawsze zamyślona, poważna, spełniała dane polecenia z posłuszeństwem a w milczeniu, za odpowiedź lub pytanie, darząc tylko głębokiem spojrzeniem swych smętnych ocząt.

Nie podzielała ona gwarnych, hałaśliwych igraszek, na które dzieci mieszczańskie zbierały się dla spólnej zabawy, na nadrzecznem błoniu, pod młynem w Kamionce; lubiła natomiast słuchać nabożnej pieśni wędrównego żebraka, lub odgłosu kościelnych dzwonów. Lubiła też słuchać, gdy o kilka lat od niej starszy młynarczyk Franek, opowiadał jej, jakie to piękne bywają nabożeństwa w kościele, jak cudne obrazy, chorągwie...

– Ale to nie dla Ciebie, Dalciu — dodawał z odcieniem smutku — boś ty żydówka!

— Czy żydówce nie wolnoby wejść do kościoła? – zadawała mu po chwili nieśmiałe pytanie.

— Dlaczegoby nie? Tylko żebyś się nie rozglądała nieśmiała, ale cicho w kątku uklękła. Ksiądz wikary nic ci za to nie powie. Każdemu wolno wejść do kościoła. Nasz Pan Bóg dobry jest!

I odbiegał pogwizdując Franek do swych towarzyszy, a Dalcia patrzyła w dal, ku kościelnej kopule, tłumiąc ze łzami bolesne łkanie.

W Samoklęskach zaś, z upodobaniem i przejęciem przysłuchiwała się ukradkiem, wspięta na palce pod oknem szkoły, jak nauczyciel wiejskim dzieciom religię wykładał. Godzinami tak wsłuchana i milcząca, wracała dopiero z rozchodzącemi się dziećmi do domu.

Swawolny Władek, syn propinatora, do którego ją dziadek z nabiałem posyłał, pytał ją żartobliwie, podając kawałek kiełbasy na widelcu:

— Będziesz to jadła Dalciu?

Ale dziewczynka bez odpowiedzi patrzyła na niego poważnemi oczętami. Zato, gdy Janek, młodszy brat Władka, zagadnął ją:

— A może zmówisz ze mną pacierz?

Wtedy klęknąwszy, ze wzruszeniem i uszanowaniem powtarzała słowa chrześcijańskiej modlitwy, którą już dobrze znała. Pamiętna na zachętę Franka, wsuwała się nieraz do kościoła i z bijącem cercem, chłonęła w siebie słowa pieśni lub nauk, lub uklawszy przed bocznym ołtarzem, pogrążała się w zadumę, nie czując nawet potrącania przechodzących obok wśród ścisku. W tej cichej, łagodnej istocie, była ukryta wielka siła i odwaga; postanowiła niezłomnie do skutku doprowadzić w głębi duszy powzięty zamiar: zostać chrześcijanką.

Nie taiła przed sobą trudności, jakie mogła spotkać na drodze do tego celu Czuła że bez cudzej pomocy tego nie wykona. Ale gdzie miała się udać po pomoc? Komu

miało zaufać biedne, ciemne żydowskie dziecię? Synowie propinatora, którym czasem zwierzała się ze swego zamiaru, odjechali do szkół. Władek sposobił się na telegrafistę. Janek miał zostać księdzem. Nawet na wakacje i święta nieraz już do domu nie przyjeżdzali. Jeden jej tylko pozostał przyjaciel, biedny jak ona i równie jak ona ciemny, uczeń młynarski Franek. Temu otwarcie chęci swoje wyznała. Poczciwy chłopak nietylko jej nie odradzał, ale owszem, zachęcał. Uczył ją prawd katechizmowych i pieśni religijnych a powtarzał, że potrzebowałaby tylko dostać się do Lublina, bo tam są światli zakonnicy i dobroczynne opiekunki, którym mogłaby swój los powierzyć. Odtąd więc dostanie się do Lublina, stało się celem marzeń Dalci.

Tymczasem tak ją, jak Franka, wobec ich częstych narad, spotykały z dwu stron dziwne podejrzenia. Ryfka matka Dalci, gderała na nią:

— Czemu ten młynarczyk ciągle z tobą za płotami się spotyka? pewnie mu się moich bułek za darmo zachciewa i namawia cię, byś mi je kradła i jemu wydawała.

Majster — młynarz zrzędził zaś gniewnie na swego ucznia:

— Co ta żydóweczka wiecznie ma z tobą do szeptania? Namawia cię pewnie, żebyś mi mąkę z młyna wykradał i do piekarni jej ojca wynosił

Biedne dzieci usprawiedliwiały się jak mogły, ale im nie wierzono, znosiły więc cicho przymówki i połajania. Aż niespodziewany traf przyspieszył spełnienie ich planów

W pewien piątek wieczorem, w pochmurnej jesieni, rodzina piekarza, powiększona dnia tego przybyciem owdowiałej wujenki Jankla, z kilkorgiem dzieci, zasiadła do szabasowej uczty. Dalcia, już podczas wstępnej modlitwy zamyślona, usiadła na swem miejscu i biorąc bezwiednie w rękę pszenny kugiel dla niej przeznaczony, siedziała nieruchoma przed talerzem, na którym rumienił się kawałek cielęciny wydzielony jej przez matkę. Szczęk naczyń stołowych i gwar jedzących zapełniał izbę.

Czemu nie jesz mięsa, Dalciu? — spytała matka.

— Bo... to... dziś... piątek! — odrzekła zamyślona dziewczynka, prawie nie zdając sobie sprawy z tego, co mówi.

Na te słowa wszczął się zgiełk nie do opisania.

— Co ty mówisz. dziewczyno! Czyś oszalała, czyś się gojom zaprzedała? Patrzcie, ona przy świętej szabasowej uczcie, chce piątkowy post obchodzić!!...

Dalcia siedziała blada jak ściana. Matka osłupiała z przerażenia a nerwowo drżący Jankiel, podniósł gwałtownym ruchem prawicę i otworzył usta, aby zarazem ciężki cios i straszliwe przekleństwo rzucić na wyrodną córkę — gdy litościwa wujenka, zerwawszy się ze stołka, wczas burzę zażegnała:

— Daj jej spokój, Janklu, patrz jaka ona blada. Musi być chora, dlatego jeść nie chce!

A obracając się do niej, rzekła:

— Idź, połóż się Dalciu, pewnie cię głowa boli.

Dziewczynka nie czekając dłużej, wbiegła po schodach na poddasze, gdzie miała swój tapczanik do spania i stłumionym jękiem ale niezachwianą wiarą, padła na kolana i w krótkiej a gorącej modlitwie, oddała się w opiekę „chrześcijańskiemu Bogu“...

A wyszeptawszy; — Teraz albo nigdy — osłoniła głowę i twarz ciemną chustką, poczem wysunęła się okienkiem na dachu i zbiegła cicho po szczeblach kominiarskiej drabiny. Dobiegając do młyna, zawołała cichym ale dobitnym głosem:

— Franku! Franku!

— Co takiego? — spytał młynarczyk odpoczywający na poręczy mostu, po całodziennej robocie.

— Prowadź mnie do Lublina... zaraz... koniecznie!.. Ojciec mię przeklął, już nie mam co robić w domu!

Osłupiały chłopak, chciał jej z początku przedstawiać, by odłożyć do niedzieli, kiedy majster nie spostrzegłby jego nieobecności, lecz Dalcia była niezachwiana.

— Franku, na miłość boską chodźmy! Całe życie modlić się będę za ciebie!

— A no, to chodźmy ale musimy iść zaraz, bo tylko nocą iść możemy i to ko-

niecznie lasami, aby kto znajomy nie poznał; a taką krętą drogą mamy dobre trzy mile do Lublina. Oj, żeby choć nie zbłądzić!

— Ej da Bóg że nie, idźmy, idźmy, dopóki moi szabas odprawiają!

I wkrótcepotem, mglista noc i gęsty las przyjęły w swe opiekuńcze cienie tych dwoje zbiegów.

Nazajutrz rano, jeszcze przed wybiciem 5 ej godziny, brat furtjan idąc przez koryta z klasztoru OO Dominikanów w Lublinie, usłyszał za wchodowemi dzwiami, płaczliwe głosy i nieśmiałe pukania. Spiesznie otworzywszy, spostrzegł ze dziwieniem dwoje drżących, strwożonych dzieci

Wyjaśnienie prędko nastąpiło. rzeor wezwał zaraz tercjarkę, która się umieszczeniem Dalci zajęła a sam postanowił udzielać jej chrześcijańskiej nauki. Frankowi wręczył pismo usprawiedliwiające go przed majstrem, a do rodziców dziewczynki napisał zawiadomienie o miejscu jej pobytu, dodając, że mogą ją odwiedzić a nawet namawiać do zmiany w postanowieniu, ale nie mają prawa gwałcić jej woli.

Łatwo się domyśleć, że Dalcia za widzeniem się z przybyłymi rodzicami ani namową, ani pogróżkami, nie dała się zwieźć z raz obranej drogi. Całując pokornie ich stopy, stanowczo oświadczyła, że zamiaru swego nie cofnie – rodzina więc z niczem odjechała.

Straszny wtedy gwałt i lament wybuchł śród Izraela w Kamionce. Ten lud zwykle pokorny i płaszczący się, wsparty jedynie na pieniądzu a przywykły do hodowania w duszy tylko nizkich pociągów, budzi się straszny jak lew, gdy z jego spójności religijnej wyrwie się jedno ogniwo. Zaczęły się tajemnicze zjazdy, narady. Zbierano składki, by dokonac porwania lub nawet zamordowania wymkniętej dziewczyny.

Ale to wszystko było daremne; czuwał nad Dalcią Bóg, któremu się oddała. Po niedługim czasie, w którym łatwo dokończyła przygotowawczych nauk religijnych, przyjęła chrzest na którym otrzymała imię Idalji.

Miłosierne opiekunki postarały się o umieszczenie jej w zakładzie tow. św. Wincentego a Paulo w Warszawie, ukończyła szkolne wychowanie. W obec wielkich zdolności, umysł jej szybko się rozwinął Zarazem zakwitła jej uroda; z wątłego, delikatnego dziewczęcia, wyrosła na dorodną, powabną dziewicę.

Próżności jednak w sobie nie miała. Gdy w pracowni strojów gdzie ją umieszczono, towarzyszki z upodobaniem przymierzały jakiś ubiór na nią, wiedząc że jej we wszystkiem ładnie, ona łagodnie a poważnie usuwała się Gdy po skończeniu nauki w pracowni, dano jej jak najlepsze świadectwo opiekunka chciała jej ofiarować bardzo zyskowne mieisce, ona jednak dziękując jej za życzliwość i wykształcenie, wyprosiła u niej, by pozwolono jej zostać siostrą miłosierdzia, jak to już postanowiła sobie podczas pobytu w zakładzie tow. św. Wincentego a Paulo. Po przebyciu więc przepisanego czasu próby przywdziała habit pod imieniem „siostry Franciszki“

Rok zaledwie upłynął od tego czasu, kiedy sterą, żona Dawida Halperna kupca z Kamionki, a krewnego Jankla piekarza. Ciężko zachorowała. ekarz z ubartowa zalecił jej wyjazd do Warszawy na klinikę, dla operacji u chirurga. Zręczny operator szczęśliwie dokonał swej czynności, poczem polecił dwom obecnym szarytkom, by nie zbudzoną jeszcze pacjętkę przeniesiono na łóżko stojące w bocznym pokoju.

Zakonnice lekko i zręcznie to wykonały; nastepnie jedna z nicc pospieszyła na wezwanie doktora, do innej sali, a druga usiadła obok spoczywającej chorej, by czuwać nad nią, póki się nie zbudzi.

Estera zwolna otworzyła przymknione oczy a czując się dobrze, powiodła wkoło wzrokiem. Wtedy spostrzegła czuwającą przy niej szarytkę, która troskliwie i łagodzie w nią się wpatrywała. Odezwała się więc do niej:

— Jaka panna siostra dobra, że tak mnie pilnuje, jaka grzeczna — a jaka piękna!!

Młoda zakonnica patrzyła na nią dalej, głębokiemi, wielkiemi oczyma. Coś, jakby mętne wspomnienie przemknęło w pamięci Dawidowej: Gdzie ona te oczy już widziała?

Szarytka wstawszy zbliżyła się do niej i dźwięcznym głosem się odezwała ze słodkim uśmiechem:

— Czy mnie ciocia nie poznaje? — i po-

chyliła się dla ucałowania ręki chorej. — Przecież ja jestem Dalcia, której tak srogo i nielitościwie zabranialiści obrać ten zawód, który jej serce wybrało!. Widzisz ciotko, że nie na zatracenie tu poszłam, ale służę Bogu i pomagam ludziom.

Estera z podziwem i wzruszeniem spoglądała na mówiącą, wreszcie serdecznym zaniosła sie płaczem ..

A gdy wróciła do Kamionki, opowiedziała wszystkim krewnym o tem niespodziewanem spotkaniu. Ale cała rodzina nie przebaczyła, do końca, młodej zakonnicy, kroku jaki uczyniła i przez jaki stała się dla niej umarłą. Rodzinę jednak zastąpił jej Bóg, któremu się oddała

MIECZYSŁAW ZIELENKIEWICZ

TOCZY SIĘ ŻYCIE...

Sypkim brylantem ziemia roziskrzona
Myśl utrudzoną, dolę i niedolę
W białe i senne ujęła ramiona,
Aby pod zasiew wiosną Bóg miał rolę.

Niosą się stopy rozkosznie w toń śniegu,
Pachnie i nęci powietrze z kryształu,
Marzy się, łaknie na gwiazdach noclegu,
Jazdy zawrotnej i wrażeń nawału.

Toczy się życie wartko, zamaszyście
W sankach pobrzęku, w karczmie, na weselu,
Dusze radości stanęły w asyście,
Wszystkim powiedzieć rade — przyjacielu!

UŁANI.

Przyjechali z woienki ułani,
I stanęli w sadzie pięknej Hani.
Zadzwoniły szable i ostrogi
Kiedy w Hani wstępowali progi.

Przodem kapral szedł rozpromieniony,
Bo widoku dziewczęcia spragniony.
A gdy weszli ułani do chaty
Hania w bukiet układała kwiaty,

By je zonieść do stóp Matki Boskiej,
Której posąg stał na końcu wioski
I tam się też gorąco modliła.
By jej z wojny Jasienka wróciła...

Dzisiaj prośba Hani wysłuchana:
Oto widzi w swej chacie ułana,
Swego Jaśka swe szczęście i życie —

W twarz mu patrzy w miłosnym zachwycie
A po krótkiej ekstatycznej chwili
Pocałunkiem swe usta złączyli ......

ROBERT RYDZ.

O KASI WOJTOWNIE.

W Zabugaju, cichym gaju, brzóz leszczyny i kaliny, jest mogiła, kwitnie wrzosem. Przy mogile, brzózek tyle w koło rośnie i żałośnie, z rozpuszczonym płacze włosem.

Stare piosnki, nucą wioski, nutą śpiewną smutną rzewną, co ją umią chłopcy nasi; że grób gaju Zabugaju, jest dziewczyny z naszej gminy, urodziwej wojta Kasi. Że tej Kasie“, w cudnej krasie, flisak Janek, był kochanek, nad życie ją kochał swoje Że serdeczną miłość wieczną, dusza w duszę ust całusem ślubowali „se“ oboje.

Raz dziewczyny na maliny szły do boru, panicz z dworu, szedł polować w letni ranek. Ujrzał w borze, jako zorzę, w rannym czasie, ładną Kasię, z malinami wziął jej dzbanek. Jadł maliny od dziewczyny tej Kasieńki i wisieńki ust całował, rozplatał jej

włosów kosy. Szeptał w uszko — Kasiu duszko, chcesz być moją ty dziewoją? Ja ci w dworze dam niebiosy!..

Hej zdradziła, Kasia miła, kochanka swego Janka, w paniczu się zakochała.

Biegły chwile jak motyle, gdy pieszczoty i niecnoty dla panicza Kasia miała

Gdy we dworze, hej Ty Boże, tam w pałacach. materacach, panicz pieścił i bezcześcił Kasię, Janek szedł pod ganek, koło dworu, co wieczoru, w zimie, wiośnie, łkać żałośnie, wreszcie odszedł w świat bez wieści.

Kiedy wianek, zabrał panek, Kasi w dworze, w letniej porze, za dworskie ją wypchnął wrota Bo kochankę miał szlachciankę. Kasię zbrukał i oszukał, został się jej wstyd sromota.

Swiatłość gorze, w pańskim dworze, do wesela gra kapela Panicz młody i szlachcianka, z lubą, luby, biorą śluby, a w rozpaczy Kasia płacze, gorzko płacze zdrady Janka.

Jej w tej chwili, dziecię kwili, w wójta brogu na barłogu, co je z hańbą porodziła. Pół zemdlona, osłabiona, na kolanach, aż do rana, czołgała się Kasia miła, ku jeziorze co przy dworze. A kiedy się zaczołgała, zapłakała, przeżegnała swą dziecinę, i ochrzciła, z głębokiego, szerokiego jezioreczka wodą czystą, by ochrzone i zbawione niebo miało, oglądało jasność bożą wiekuistą..

W rannym czasie, wójta Kasię w jej objęciach trup dziecięcia, wyłowiono na jeziorze, swoje życie i swe dziecię, utopiła ona była, kiedy ranne wstały zorze.

Podług starej świętej wiary, jej nakazu, nie w cmentarzu pochowano topielichę, tylko w gaju Zabugaju, pogrzebiono, potępioną, samobójczą przestępnicę.

Zaś o Janku, jej kochanku, była cisza nikt nie słyszał, na zawsze gdzieś, przepadł w świecie, tylko chłopcy z wsi parobcy mówią w wiośnie, ze żałośnie Kasia płacze, kwili dziecie, w każdy cichy wieczór maju, w tej mogile w Zabugaju...

ROZWÓJ LOTNICTWA.

O zdobyciu powietrza marzył człowiek w najdawniejszych już czasach. Podbiwszy pod swą władzę całą ziemię, morza i oceany, skierował swą energję i umysł twórczy w kierunku podboju bezkresnych przestworzy powietrznych i długie, długie wieki marzył o ich opanowaniu. W nowoczesnych zwłaszcza czasach usiłowania te stają się wprost gorączkowemi i to u wszystkich niemal narodów i we wszystkich państwach bez wyjątku. Jedni budowali balony lżejsze od powietrza, inni aparaty cięższe od powietrza a kształtem i formą upodobnione do ptaka lub nietoperza, to znowu konstruowali maszyny powietrzne będące kombinacją i jednych i drugich. Za przełomowy dzień w awiatyce uznać należy dopiero rok 1904 w którym to roku dwaj inżynierowie angielscy bracia Wright potrafili zastosować do aparatu silnik (motor) i za jego pomocą wprawić w ruch aparat powietrzny dowolnie kierowany. Kiedy też dnia 8 sierpnia 1904 roku na swym aparacie zaopatrzonym w silnik własnej konstrukcji wzlecieli w Le Maus i odbywali ku zdumieniu całego świata loty, dzień ten powszechnie przyjęto za chwilę narodzeń samolotu a więc i całej potężnej obecnie awiatyki.

Odtąd rozwój lotnictwa jest tak szybki i wspaniały, że przechodzi wszelkie nawet najbardziej fantastyczne sny i marzenia.

Twórcą jednak prawdziwej nowoczesnej awiatyki jest francuski inżynier Luis Blériot. On bowiem po licznych mozolnych próbach skonstruował nareszcie aparat lotniczy, który umożliwił ów zawrotny wprost szybki rozwój lotnictwa jakiego dziś jesteśmy świadkami. Jego jednopłatowiec z kształtu podobny do ptaka, nadzwyczajnie zgrabny, lekki i pojedyńczy szybuje z zawrotną szybkością w przestworzach, co więcej umożliwia wykonywanie różnych sztuczek i koziołków o jakich przedtem nikomu się nie śniło nawet. P. Litthard tak opisuje pierwsze po-

pisy Blèriota (Naokoło Świata Nr. 5) „Przypominam sobie dobrze ów moment jedyny w swotm rodzaju, kiedy to Blèriot, przyjechawszy w r. 1909 do Wiednia popisywał się aparatem swoim w ogrodzie pałacu cesarskiego w Schönbrunnie wobec Franciszka Józefa I i jego dworu. Kiedy samolot począł „rozpędzać się“ po trawniku miało się zupełnie wrażenie, że to olbrzymi gołąb lada chwila wzniesie się w obłoki. Z zapartym oddechem wszyscy świadkowie tego wiekopomnego zdarzenia śledzili każdy ruch aparatu. A gdy w końcu wzniósł się spokojnie i z niezwykłą gracją w górę, mimowoli z piersi wszystkich wyrwał się okrzyk. „Vive Blèriot“.

Jeszcze silniejsze jednak wrażenie wywołało majestatyczne krążenie, to szybsze to powolniejsze w obłokach, a już prawdziwe zdumienie malowało się na twarzach gości, gdy Blèriot w przepięknych spiralach (kołach) powoli wracał na ziemię.

Tym nowym wynalazkiem zainteresowała się przedewszystkiem wojskowość w słusznem przekonaniu, że samolot w czasie wojny odegrali może rolę pierwszozędną. Światowa wojna w zupełności potwierdziła to zdanie przyczyniając się do niesłychanego postępu w tej dziedzinie.

Warto przypomnieć kilka cyfr a one najlepiej uprzytomnią nam jaki przełom dokonał się przeciągu tych 17 zaledwie lat, od chwili pierwszego wzlotu samolotu w przestworza.

W chwili wybuchu wojny piechota francuska liczyła niespełna 1 i 1)2 miljona ludzi, w październiku zaś roku 1918 zaledwie 800 żołnierzy a więc o połowę mniej. Wojska lotnicze natomiast w połowie roku 1915 liczyły 4,000 ludzi w tem około 200 pilotów, zaś w październiku 1918 roku przeszło 150,000 ludzi z tego samych pilotów 16,000 a więc 80 razy więcej. Widać z tego, że piechota została w zupełności zastąpioną przez lotnictwo. W chwili wybuchu wojny Francja miała niespełna 100 samolotów, gdy w r. 1918 liczyła ich 11, 836 z tego na samym froncie pełniło służbę dzień i noc przeszło 4,000 maszyn lotniczych — reszta na tyłach i w kraju.

Niemcy rozpoczynali wojnę z 218 samolotami, w dniu zakończenia podały ich 5,000. W czasie wojny państwa: Francja, Anglja i Ameryka wybudowały samolotów 129,200.

Postęp więc zawrotny! Obraz jednak rozwoju lotnictwa nie byłby pełny, gdybyśmy nie dodali, ze szybkość jaką obecnie osiągnięto na samolocie wynosi 500 kilometrów na godzinę. jest więc przeszło 5 razy większą aniżeli zdolny jest osiągnąć najszybszy pociąg pospieszny (180 km. na godzinę) zaś największa wysokość jaką dotąd osiągnięto wynosi 12,000 m. Najdłuższy lot bez lądowania wynosi 36 godzin, a największa odległość przeszło 4000 kilometrów. Również i co do rozmiarów samolotów poczyniono ogromne postępy. Już w roku 1920 firma „Caprom“ zbudowała samolot na 100 ludzi załogi i pasażerów oraz na 1000 kg. ładunku. Gondola tego kolosa powietrznego ma specjalne urządzenia na umieszczenie 8 morskich min i 8 ciężkich bomb. Niemiecka firma „Junkers“ pracująca w Ameryce zbudowała samolot metalowy opancerzony o szybkości 232 km. na godzinę, uzbrojony w 30 karabinów maszynowych z których każdy może oddać po 2000.

Angielska firma „Wilkers“ zbudowała samolot obliczony na 130 osób. Posiada on 16 sypialnych przedziałów, jadalnię, czytelnię, toaletę i dwa korytarze, elektryczne ogrzewanie i oświetlenie, W chwili gdy to piszemy w Niemczech buduje się samolot obliczony na 500 osób którzy będą mogli odbywać ze wszelkimi wygodami podróż powietrzną w najdalsze zakątki naszego globu.

Po tych zdobyczach żeglugi powietrznej podróżowanie samolotami z dnia na dzień staje się co raz bardziej powszechnem i dla każdego dostępnem, a że nie jest niebezpiecznem wykazuje obliczenie dokonane na linji Paryż — Londyn, gdzie na 50,000 przewiezionych pasażerów jedynie 6 osób postradało życie wskutek nieszczęśliwego wypadku. Na tych samolotach pracuje nieraz po 3 i 4 motory całkowicie od siebie uniezależnione, tak, że nawet na wypadek uszkodzenia jednego, czy nawet dwóch, zawsze pozostała doprowadzi samolot do celu.

Na czele praktycznego lotnictwa kroczy obecnie stale Francja. Dziś Paryż połączony

jest rdgularną komunikacją powietrzną z Marsyljąa dalej przez morze z Casablanką w Afryce, którą przestrzeń przebywa samolot pasażerski w 13 godzinach zamiast pięciu dni uciążliwej jazdy kolejami i okrętem. Ponadto z Paryża odlatują codziennie regularnie areoplany we wszystkich kierunkach do wszystkich prawie państw między innymi do Warszawy, Wiednia, Londynu, Brukseli itd.

Ale nie tylko Francuzi postępują w tej dziedzinie komunikacji, także i inne narody nie pozostają w tyle za nimi. Amerykanie dążą do stworzenia stałej linji Londyn — New Jork, dalej przez kontynent amerykański do San—Francisko a następnie do Sydney w Australji, tak, że cała ta podróż obliczoną jest na 10 dni zamiast dawnych 7 tygodni.

Ambicją Anglików jest doprowadzenie do ustalenia komunikacji powietrznej naokoło świata. Szlak ten ma prowadzić przez Londyn — Nowy Jork San Francisko — Władywostok — Moskwa — Warszawa — Berlin do Londynu z powrotem. Według tego planu można będzie świat cały objechać w ciągu niespełna 10 dni. Inna linja miała by biec z Londynu przez Konstantynopol do Bombaju w Indjach a następnie przez Singapoore do Sydnej w Australji, skąd przez Ocean spokojny do Pernambuco w Ameryce połud. a dalej przez Dakar w Afryce do Londynu.

Jeżeli się zważy, że od narodzin lotnictwa upłynęło dopiero 17 lat, to pokolenie nasze może doczekać jeszcze niebywałego postępu w tej tak modnej dziś dziedzinie techniki.

Si.

IDĄ ...

W zwartym szeregu, równym, twardym krokiem,
Jasnym wokoło patrząc na świat okiem,
Idzie drużyna na bój z duchów wrogiem.
Trwogi w nich niema, jeno wiara, męstwo,
Że w walce szczytnej odniosą zwycięstwo.
Że ich nagroda czeka Tam, za progiem...!

Garstka straceńców — to nie armji kadry,
Co niebu radość, słońcu żar wykradła,
By wśród ciemności jasnych płonąc zniczem.
Idą na boje z zapałem ofiarnie,
By skrócić duszy zmęczonej, męczarnie,
Śpiewać o szczęściu w raju tajemniczym.
Idą, by sadzić drzewa święte, róże,
Dać sercom skrzydła, by gnały ku górze,
Na której duchy pieśń grają przeczystą...
Na rekonesans idą ludzie nowi
Wierni ojczyźnie, wierni Chrystusowi,
Drużyna polskich bardów promienistych!

Józef Kapuściński.

LOKOMOTYWA.

Po lśniących szynach sunęła lekko — jak by panienka w tańcu..

Zdawała się przeginać w przód i tył, ujmować się pod boki wspaniale, wabiąc ruchami zalotnemi partnera..



Było w tej maszynie coś czarownego i przykuwającego uwagę, taka dziwnie miła i wabliwa się zdała Hen w dal pędziła ją tęsknota nieodgadniona, jechała polami, lasami — kołysząc się i chwiejąc nieustannie. Knuła coś w swym żelaznym mózgu, ale to było zamknięte i niejasne..

Opodal toru kolejowego, siedział młody człowiek pogrążony w czytaniu, snać bardzo go zajmowało, bo rzadko głowę z nad książki unosił. —

W tem zdala rozległ się gwizd i można było dojrzeć sylwetę zbliżającej się o tanecznych ruchach lokomotywy. Młodzieniec wstał, wpatrzył się w to sunące dziwo, chociaż je wiele razy już widział.

Dziwne nim wstrząsnęły uczucia, obłęd czy ekstaza zadrgały w nim i popchnęły na środek toru oczekiwać potwora z otwartemi ramionami.

Stał w tej pozycji, jakby pragnął prosić damę do tańca, lecz maszyna nie rozumiała jego szlachetnych porywów, tylko olbrzymią swą piersią z nóg zwaliła, jak natręta i śmiałka, a nawet nie westchnąwszy nad ofiar, swojego podziwu, w dalszą drogę pognała..

Kto ją wie, czy była zadowoloną z uroku jaki posiadała czy robiła to z wyrachowania, czy z innej, a nam nieznanej przyczyny?

Dość, że dalej nie przestała kusić.

Nie wszyscy, trzeba przyznać, byli marzycielami, którzy widzą wszystko poetycznie i szczytnie.

Było wiele obserwatorów, dla których ta cudowna zjawa była kotłem żelaznym z przyczepionym „tendrem“ na wodę. Ci nie dostrzegali harmonijnych poruszeń, nie zauważyli lekkiej posuwistości, zato wiedzieli że strzedz się trzeba tego kolosa, bo miażdży bez litości...

Ci najlepiej na tem wychodzili, nie roztkliwiali się nad byle czem i dobrze im z tem było.

Smutny widok przedstawiały zmiażdżone zwłoki młodzieńca, który chciał w zawrotny taniec iść z lokomotywą. Śledztwo wykazało, że był to młody poeta, marzyciel, który z nieznanych powodów popełnił samobójstwo.

To ustaliły dochodzenia, ale faktycznie było inaczej. Zaczytany w poezjach młody człowiek miał umysł rozgorączkowany, porywały go wzniosłe hasła, idee, duch jego błąkał po firmamencie niebieskim. Działy się w jego duszy chwile zaczarowane, fantazja lśnieniem wierszy rozbudzona tkała cudne baśnie, wyobraźnia jej wtórowała,..

Niezbadana siła pchnęła młodego człowieka na drogę zimnej, (chyba węglem ogrzanej) lokomotywy. —

Stał się nieszczęśliwy wypadek, który pociągnął życie ludzkie młode i potrzebne.

M. „Widz“.

IRENA TRZASKOWSKA — ZAWADZKA.

SZKIC.

Chodzi polami wielkie śpiewanie —
Chodzą polami kolory z tęczy:
Długi rząd dziewcząt przy brózdach klęczy,
Czy nabożeństwo? a gdzie organy?
Organy niebo, a organista
Wiatr po tych polach rozćwiergotany,
Co oto nutą pobożną śwista

— — — — — — — — — — — —

To pod Niwkami kartoflobramie...

Chodzi polami wielkie śpiewanie —
Worki, kobiałki u miedzy stoją . . .
Czyli to jarmark jesienny stroją
One na polu? a gdzie stragany?
Stragany ziemia, a sprzedający
Wiatr cięg'em długim rozćwiergotany,
Towary swoje zachwalający.

— — — — — — — — — — — —

To pod Niwkami kartoflobramie.

BAJKI WSPOŁCZESNE.

„ŚRODEK PRZECIW ŁYSINIE“.

Gdym przechodził Florjańską, wzroku mego bełty utkwiły w urzędowych oknach farmaaceuty.

„Środek przeciw łysinie“! Eureka! Eureka!

Jakże-m uczuł się szczęsnym, nieszczęsny kaleka, w dwudziestym życia maju łysy, jak dłoń! Lwu-by nie tak śpieszno do dżungli było na łów luby, jak mnie do tego „środka“! By w loch światła smuga, wleciałem do apteki. — Dobry wieczór! — „Sługa!“

(Pigularz człowiek młody, wymuskany gogo, na głowie „papirmyca“ — widać, że mu srogo dopiekało dziś słońce...) Uprzejmy: rozmowny, odprawił klijentelę wcześniejszą, dwie panie i żydka, potem do mnie: „Pan, panie szanowny?“

— Środek przeciw łysinie, szanowny mój panie!

— Do usług! Radio — Capill! — A dobry to? — „He — he! Tylą za dwa tygodnie będzie miał pan strzechę. Radio — Capill, najnowszy medycyny „krzyk“ ów, złoty medal otrzymał na zjeździe medyków. Do żywota cebulki powołuje zmartwych, walczy z siwizną, włosów konserwując czar swych — jak pan widzisz w przepisie. Sławy mu nie ujmuj...

Mój brat, panie szanowny, farmaceuta; wuj mój, lekarz; mój szwagier, detto, oraz stryj mój, biskup — teraz im obcęgami ni

wyrwij, ni wyskub ani jednego włoska! Taki proszę pana, włos mają teraz, przedtem łysi, jak kolana!

Ja sam przedtem... — tu urwał, zlekka się rumieniąc —

Służę uprzejmie. Osiem złotych. Czy to pieniądz w dzisiejszych czasach? — ciągnął dobroczynny Hozjusz — Dziękuję najuprzejmiej! Głowę wymyć na noc.

Jutro, panie szanowny, kiełki puści włos już.

Mój brat, wuj mój, mój szwagier, stryj... Sługa! Dobra noc!"

Dziękuję! „Tu zdjął myckę i — o, srogie drwiny! O, horribile dictu! O wy, takie syny! — ogromnem słońcem zajaśniał łysiny!!

Altej.

NOWE WYDAWNICTWA

ROBERT RYDZ: „GRZESZNA MIŁOŚĆ" Sztuka ludowa ze śpiewami i tańcami, z muzyką Lecha Bursy, Nakładem A. Cybulskiego w Poznaniu.

Nazwisko Roberta Rydza jako dramaturga jest dość znane na wsi, aby je przypominać.

Każdy jego dramat, który wydaje drukiem, wnosi coś nowego do ubogiej dramaturgji teatru ludowego, a dla autora jest cennym dorobkiem w twórczości i pięciem się naprzód do wytkniętego celu.

W „Grzesznej miłości" rozwiązuje autor ciekawie problem zbrodniczego czynu Antka, który zamordowawszy za namową Jagny jej męża, gryziony wyrzutami sumienia, idzie w świat szukać sekspjacji za popełnioną zbrodnię Akcja sztuki żywa, prowadzona umiejętnie, ze znawstwem sceny, a ilustracja muzyczna Lecha Bursy dopełnia całości dramatu, który powinien być grany przez wszystkie sceny Kół Młodzieży i amatorskie.

Fr. L.

WOJCIECH BYCZEK: ECHA WIEJSKIE. Poezje. Nakładem autora. Z przedmową St. Sochackiego.

2) WOJCIECH BYCZEK: ZAMEK ODRZYKOŃSKI. Przedmowa J. Pelczara. Nakładem J. Pelczara i Spki.

— 0 —

Młody poeta ludowy Wojciech Byczek, zadebjutował w b. roku tomem poezyj i monografją o zamku odrzykońskim. Utwory zawarte w „Echach wiejskich" formą i treścią nie nowe, ale posiadają w sobie dużo świeżości, szczerości i piękna. Poeta kocha dobro i dąży do ideałów. W każdym wierszu przebija u poety głęboka miłość do ziemi i żarliwa wiara w Bogu. Całość powstała z głębi miłującego serca i jest hołdem pieśniarza dla Boga i Ojczyzny.

Przedmowa St. Sochackiego, wprowadza poetę przed czytelników i tłumaczy jego pierwsze wystąpienie.

W „Zamku Odrzykońskim daje się poznać u Byczka pewien zmysł historyczny i umiłowanie zabytków przeszłości. W małem dziełku jest zawarta historja zamku od czasu jego powstania aż do obecnego stanu. Książeczka napisana jest przystępnie miejscami przeplatana pięknemi wierszami autora.

Przedmowa J. Pelczara serdeczna i piękna. Wzywa w niej autor do ochrony zabytków przeszłości, które bez opieki niszczeją zupełnie.

Książka napisana zajmująco, służyć może jako dobry przewodnik po ruinach odrzykońskich, którego brak dawał się odczuwać dla zwiedzających te romantyczne ruiny.

Fr. L.

Odpowiedzi redakcji.

W. Pan „NIEZNAJOMY": Wierszy niepodpisanych nie zamieszczamy. —

W. Pan J. WŁOD. Otrzymaliśmy. Dziękujemy. Pójdzie w następnych numerach. —

W. Pan J. BYL. Zamieścimy w następnym numerze. Prosimy o cierpliwość. —

Red. odp. Dr. Władysław Koss. — Druk. Kresowa w Krakowie.